

CZY JEZUS BYŁ SMUTNY I

Może się komu wydawać, że chodzi tu o kwestię, czy Chrystus był wrażliwy i smutny, lecz to nie problem — wiadomo, że był.

Gdybym rzecz tę miał pisać w języku francuskim, tytuł brzmiałby tak jakoś: „*Était-ce un triste que Jésus?*“ Już by zatem nie można go rozumieć opacznie, bo „*un triste*“, to jest człowiek, u którego smutek stanowi jakąś zasadniczą nutę życia psychicznego, dominantę, rzecz można, jego charakteru.

Czy Chrystus był kimś takim? Czy to jest możliwe? Czy to jest możliwe, by On chciał być takim? I dla jakiej przyczyny mógł być tego pragnąć?

I jaki owego smutku mógł być motyw realny, jego fundamentum in re? Jeden przynajmniej z motywów.

Święty Jan o tym mówi zaraz w swoim Prologu:

„Słowo było na świecie i świat stał się przez nie; a jednak świat go nie poznał. Przyszedł do swojej własności, ale swoi go nie przyjęli“.

Oto węzeł dramatu — ów konflikt, który będzie zasadniczą sprawą okresu działalności publicznej, „*leitmotivem*“ Żywota. I oś się nie skończy razem ze śmiercią na krzyżu ani z zmartwychwstaniem, ale snuć się będzie poprzez dzieje ludzkości aż do końca czasów, skoro Chrystus dla wszystkich jest znakiem łączności równie jak podziału, będąc przeznaczony równie na powstanie jak i na upadek „*wielu w Izraelu*“. I skoro na ziemię przyniósł wcale nie pokój, ale rozdziwienie. Ów konflikt, którego ofiarą pozorną będzie sam Zbawiciel, ofiarami zaś właściwymi ci wszyscy, którzy drogę wybrawszy przestronną, zamiast wąskiej i stromej, do Królestwa Bożego nie wejdą.

A ów smutek przy tym? Bo są różne smutki.

Bywa smutek wynikły z pewnej pychy, gdy się komuś wydaje, że mu ludzie należnych hołdów nie składają, zapoznając zasługi; i że są wręcz tacy, którzy nawet wyraźnie na honor nastają. Są też wcale nie pyszni, którzy jednak, odwracając w pewnej mierze hierarchię wartości, smucą się brakiem tego, co nie warto zachodu. Są też inni, tacy, dla których przemijanie, w większym jeszcze

stopniu niż dla reszty bliźnich, jest przyczyną żalości prawie nieustannej — tak spragnieni trwania i tak refleksyjni, że nietrwałość tego, co winno się poprzez pozorne zniszczenie przemienić, przebudować, by dalej trwać wiecznie, napelnia ich smutkiem. Jest także w języku francuskim pewne wyrażenie malujące człowieka w jaknajgorszym świetle — *un triste sire*. Chodzi tu również o smutek, lecz nie tego, o którym jest mowa, ale tych, przeciwnie, którzy o nim myślą, sądząc jego czyny na płaszczyźnie moralnej, bo sam „*triste sire*“ mógł być bardzo wesołym kompanem.

Lecz skąd naprzód to całe dziwne zagadnienie — ów problem czy Jezus był smutny — co nam dozwala je stawiać, jakie święte teksty?

Jest mianowicie owo najbardziej ze wszystkich wyraźne oświadczenie Chrystusa w ogrodzie oliwnym. Smutna jest dusza moja aż do śmierci. Mówi wtedy Zbawiciel, że dusza Jego jest smutna — w owym czasie, króciutko przed nadejściem straży i ucieczką uczniów, męką całą i śmiercią krzyżową. Ale mówi również, że smutna jest do śmierci, a to można dwojako rozumieć: że smutna jest albo śmiertelnie — ze smutku takiego możnaby i umrzeć jak z śmiertelnej choroby — albo w sensie czasowym, aż do chwili śmierci. Mielibyśmy tu zatem jeden tylko termin — *ad quem*. A początkowy, ten drugi? Odkąd to dusza Jezusowa jest smutna?

Bowiem skąd ów smutek ogarniający człowieka (jeżeli jest tylko człowiekiem) wobec bliskiej śmierci — zasmucenie tych wszystkich, których „*contristat certa moriendi conditio*“? Oto wówczas nagle staje się obecne to, co było do niedawna odległe, gdyż choć wszyscy niby świadomi jesteśmy, że kiedyś umrzemy, nikt z nas w to — jak pewne znane powiedzenie głosi — w gruncie rzeczy nie wierzy, albo mało jest takich. Chwila śmierci bowiem pozostaje na codzien przysłonięta mgiełką oddalenia wielkiego (skoro żyć długo tak bardzo na ogół pragniemy); dalej nieświadomości zupełnej warunków, w jakich ona nastąpi — ni dnia, słowem, nie znamy, ani cierpień związanych z naszą przyszłą śmiercią. A to wszystko ją spycha w strefę niekonkretności. I tak, widać, być musi, byśmy mogli tu istnieć, w tym doczesnym życiu, jako tako pogodnie.

Tymczasem, kiedy chodzi o Boga i Człowieka zarazem, o Boga-Człowieka, rzecz ma się zupełnie inaczej. Chrystus przecie przenikał przyszłość całą spojrzeniem, dla którego nie było, ani być nie mogło żadnych rzeczy zakrytych ani tajemniczych — męka zatem i śmierć przyszła na krzyżu, w Jego myśli wciąż były obecne i bliskie — równie wtedy, w ogrodzie oliwnym, jak przed laty

kilku czy też kilkunastu. Nie tak dawno mówił, że dusza Jego wstrząśnięta jest, dodając zarazem: I cóż mam powiedzieć? Ojciec wybaw mnie od tej godziny? Kiedyś także wspominał: Mam być chrztem ochrzczony i w jakiej pozostaje udręce, nim się to nie spełni! A mękę i śmierć swoją zapowiadał często, raz *expressis verbis*, chcąc uczniów należycie przygotować do niej, to znów mniej wyraźniej, kiedy mówił o tym, że ma być „*wywyższony nad ziemię*“ — w rozmowie chociażby z Nikodemem.

Czy nie możnaby zatem na podstawie wyznania z Ogrójca, przesunąć terminu „*a quo*“ gdzieś ogromnie daleko (jeżeli „*tota vita Christi crux fuit et martyrium*“...?) przyjmując stan smutku, o którym Zbawiciel przed męką wspomina jako coś stałego, a wyznanego jedynie w danej chwili jaknajbardziej wyraźnie?

My jednakże — ludzie — których myśl o śmierci naogół zasmuca, których bliskość terminu może nawet przerazić, my nasze istnienie poza doczesnością poznajemy przez wiarę, poznaniem więc ciemnym — wiarą, która podlega wahaniom i podlega pokusom (nawet wiara świętych nie była od nich wolna). Podczas kiedy Chrystus jest Człowiekiem, co wiedział, wiedział *scientia visionis* już tu, w doczesności. Udociętnił się bowiem dla nas, ale poza doczesność ustawicznie wykraczał; a jeżeli się mówi o zasadzie wiary, to przecież jedynie dlatego, że byłby gotów wierzyć z całej swojej mocy. Skoro jednak wiedział...

Wiedział, że Jego smutek w radość się przemieni, a tak bardzo się smucił, potem krwawym złany, w ogrójcowych cieniach. I wskrzeszając Łazarza wiedział przeciwko dobru, że ten za chwilę powstanie, z grobu wyjdzie, między żywych się wmiesza; że smutek i żalność Marii, ból i żalność Marty w radość się przemienią — i mimo to się smucił. Widząc Marię we łzach całą „*i Żydów, którzy towarzyszyli jej, płaczących, wzruszył się silnie w sercu swoim i głęboko przejęty, zapytał: Gdzieście go położyli? Odrzekli mu: Panie, pójdź i zobacz! A Jezus zapłakał*“.

I „*ponownie wzruszony*“ udał się do grobu.

Jakże dziwnie wzruszony śmiercią przyjaciela Ten, który go za chwilę ma do życia ponownie powołać i który mówił o sobie przed chwilą do Marty: „*Ja jestem zmartwychwstanie i życie. Kto wierzy we mnie, żyć będzie chociażby i umarł*...“, że śmierci zatem nie ma dla tych, którzy wierzą. Jakże dziwnie wzruszony śmiercią przyjaciela, swoją własną śmiercią aż do lęku wielkiego i wielkiego smutku, i krwawego potu — Bóg. Gdyż Bóg to przecież się wzruszał, i smucił, i płakał, krwawym potem się pocił... Ten Człowiek niebiański miał przyjąć wobec śmierci i ludzkiego cierpienia postawę nadczłowieka, chce postawy ludzkiej, jak — naj-

bardziej ludzkiej — nic w Nim więc z olimpijskiego spokoju półboga, nic z „apatii“ mędrca — ale ludzkie wzruszenie, łzy, smutek, niepokój.

Nawet, gdy Ogrójec poza Nim już został, gdy już jest spokojny — nic i wtedy w Nim również ze spokoju posągów, skoro do strażnika, który Go uderzył, mówi tak wzruszająco po ludzku, z takim łagodnym wyrzutem (miast mądrego stoickiego milczenia): „Jeżeli się źle wyraziłem udowodnij, że źle, a jeżeli dobrze, to dlaczego mnie bijesz?“ I na krzyżu też woła: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?“ nie po to jedynie, ośmielał się twierdzić, by słowa psalmu cytować bez jakiegokolwiek podstawy we własnych przeżyciach duchowych. Chciał i tego doświadczyć ze względu na tych wszystkich, którzy poprzez wieki czuć się będą chwilami opuszczeni przez Boga.

Chciał. Bo On tego wszystkiego bez wątpienia pragnął — i pomyśleć się nie da, by mogło być inaczej — On, Stwórca i Pan najwyższy wszechrzeczy. Jak chciał wyrazić współczucie bezdomnym, gdy mówi z pewnym smutkiem: „Lisy mają nory, a ptaki niebieskie swe gniazda; lecz Syn człowieczy nie ma gdzie głowy położyć“.

Wielki to jest problem owe smutki Chrystusa — Jego wszystkie łęki, uciski i płacze, Jego wszystkie cierpienia wobec Owej wizji uszczęśliwiającej, którą się radował od pierwszego momentu doczesnego istnienia — wielka tajemnica Boga i zarazem Człowieka, wielka i niezgłębiona. Tyle wolno tu jednak dorzecznie powiedzieć — że z Jego własnej suwerennej woli działanie tamtej wizji, na pewnym z góry określonym odcinku, musiało być zawieszane, wyłączane jakgdyby, w pewnym także z góry określonym celu. Oto we wcieleniu Bóg się udocześnił — stając się Człowiekiem włączył się w ludzką społeczność, doskonale z nią złączył przy absolutnej zarazem transcendencji Osoby — włączył dzięki temu i stał się do nas „we wszystkim podobny krom grzechu“, że pewne działania sam w swej duszy zawiesił, sam wyłączył ich skutki. Za tą cenę olbrzymią, za cenę jakiegoż ogromnego cierpienia zostając naszym bliźnim najzupełniej dosłownie i dosłownie bratem, towarzyszem in via. Zaangażowaniem bezpośrednim, wprost zdumiewającym, w życie społeczno-duchowe ludzkości — były takie dni przecież, kiedy na posiłki nie starczało wprost czasu (nie dziwić się zatem rodzinie, co sądziła, że Jezus szaleje) — okup jakgdyby składając (jeśli okup tu zgoła potrzebny) Bogu Ojcu za tych, którzy kiedyś żyć będą w eremach czy za furta kontemplacyjnych zgromadzeń. Wzorem będąc dla nich życia oddanego modlitwie; i wzorem i podtrzymaniem zarazem dla takich,

k którzy będą szli drogą równie trudną powołania czynnego. Zaangażowaniem się jakimś dogłębnym, znów tak bardzo różnym od dystansu „mędrca“, jego beznamiętnego spokoju; zaangażowaniem się, w którym i na gniew zewnętrzny jest miejsce, i na inwektywę, i na łzy wylane nad przyszłymi losami ojczyzny.

Jakże tu daleko od podstawy chociażby stoickiej nakazującej stanowczo wyzbycia się afektów, potępiającej ostro smutek z racji i cudzego nieszczęścia, jako słabość niegodną człowieka mądrego; a jak bliskie to wszystko (rzecz zdumiewająca) naszemu życiu własnemu, pełnemu niepokoju, zmienności w nastrojach. Choćby zadziwiająca owa scena przy Cezarei Filipa, kiedy to rozradowany Zbawiciel mówi do Szymona: „*Błogosławiony Szymonie Barjona! Bo nie ciało i krew ci to objawiły, lecz Ojciec mój, który jest w niebiesiech*“; by w niedługą chwilę na jego znów słowa: „*Boże cię uchowaj*“... oświadczyć gwałtownie: „*Zejdź mi z oczu, szatanie! Jesteś mi obrazą*“... Faryzeuszów nazywa plemieniem przewrotnym i nasieniem żmijowym, a mówiąc o tych miastach, w których czynił cuda, woła także namiętnie: „*Biada tobie, Korozain! Biada ci, Betsaida!*“ Nad Jeruzalem zaś załamując ręce: „*Ileż to razy chciałem zebrać wokół siebie dzieci twoje jak kokosz... a wyjście nie chciałem! Teraz dom wasz pozostanie pusty*“.

I jak bardzo daleko od postawy „mędrca“ w owej dynamicznej, wręcz aż dziwne, scenie, kiedy Jezus, skręciwszy jakby bicz z porozów, wypędza ze świątyni przekupniów razem z całym ich kramem, rozsypuje pieniądze i przewraca stoły w wielkim, świętym gniewie; z wielkiej, żarliwej miłości ku świątyni Ojca. Że tylko w Jego oczach pewien wzgląd znajdują handlarze gołębi, gdyż do nich jeno mówi: „*Zabierzcie to stąd*...“ Ongiś przecie za Niego samego tu, w tej samej świątyni, jako wykup złożono parę synagorlic czy też dwa młode gołąbki.

To zaś wypędzenie kupujących, to jeden z przejawów tamtego konfliktu — pomiędzy Jezusem a tym pokoleniem, które było Jego, i pomiędzy Mesjaszem a tym samym ludem, który był wybrany i „*usynowiony*“ jako par excellence lud Boży — nosiciel Obietnicy, jeden z pośrodku wielu, wszystkich ludów ziemi. I do którego w osobach faryzeuszów i skrybów mówi ileż razy tak twardo a z taką boleścią: „*Plemię przewrotne i wiarołomne*...“ Ileż razy „*Biada!*“ I słowami Izajasza proroka: „*Lud ten czci mnie wargami, podczas gdy serce jego dalekie jest ode mnie*“. A kiedy się namyśla z kim ma porównać to plemię, podobne Mu się wyda do dzieci, które siedzą na rynku i wołają do innych: „*Przygrywaliśmy wam na flecie, a nie tańczyliście; śpiewaliśmy wam treny żałobne, a nie zawodziliście*...“ Przyszedeł bowiem Jan Chrzciciel, który nie

jadł i nie pił, a wtedy orzekli, że ma czarta w sobie; i przyszedł Syn Człowieczy, który je i pije, więc Go zwaź żartokiem, opojem i przyjaciелеm grzeszników...

Podczas kiedy raduje się wielce i nawet jest „zdumiony“ wielką wiarą setnika, później Chananejki („*Niewiasto, wielka jest twoja wiara!*“) — powiadając przy tym, że wielu z Zachodu i ze Wschodu przyjdzie, by zasiąść z Abrahamem w Królestwie Niebieskim, gdy synowie Królestwa wyrzuceni będą.

A przecież On sam lud ten kiedyś stworzył, obierając go sobie; i sam wybrał też chwilę swoich własnych narodzin, pokolenie więc również, z którym przyjdzie mu współżyć — sam, z Bożym doskonałym rozumem, świadomością absolutną Istoty nieskończenie świętej, która pragnie dobra i jedynie dobra.

Jak mógł być ongiś stworzyć, na samym początku, dwoje takich ludzi jak św. Jan Chrzciciel i Maryja Panna — ludzi mocną dających gwarancję, że będą posłuszni i że się to wszystko nie stanie, co naprawdę się stało i co Boga w sercu zasmucało tak bardzo, iż powiedział nareszcie: „*Zgladzę z powierzchni ziemi, którego stworzyłem, człowieka... albowiem żałuję, iżem je uczynił*“. I czy nie mógł był wybrać ludu mniej dzikiego, mniej wiaromnego, aby kiedyś nie wołać w wielkim bólu, z płaczem: „*O, gdybyś i ty poznało w owym dniu, co służy twemu dobru, a teraz jest zakryte przed oczami swymi...*“

„*Jeruzalem, Jeruzalem, które mordujesz proroki i tych, którzy do ciebie są posłani!*“

Czy też nie mógł był lepiej przygotować ludu na przyjęcie Słowa? Nie byłoby Mu trzeba tak długo ukrywać swej mesjańskiej godności wobec owych fałszywych, a tak bardzo upartych w Izraelu nadziei na Mesjasza — Władcę, doczesnego władcę. Tego ludu pojęcia jakże materialne, grubo materialne, jakoś przecie przetworzyć, przeduchowić, przemienić — czy nie można było? Nie byłoby już wtedy owego dramatu, zasadniczego konfliktu z rozdziału VI Ewangelii Janowej, który epokę stanowi w działalności Jezusa, bo się wtedy zakończy galilejska idylla odejściem odeń tłumów, które nie chciały zrozumieć, że „*mowa*“ Jego nie jest wcale „*twarda*“, a tylko „*duch tym jest, co ożywia; ciało zaś nie przyda się na nic*“. Nie byłoby też z bólem zadanego apostołom pytania „*Czy wy też chcecie odejść?*“.

Nie byłoby tragedii ze wszystkich bodajże najgorszej, że i pośród Dwunastu są tacy, co nie wierzą, i jest ten, co z czasem Go wyda. Apostołowie więc. Czy nie można było dobrać ich wśród ludzi bardziej kulturalnych, inteligentniejszych — uniknąłby Zbawiciel bardzo wielu kłopotów, bo przecie tak długo był z nimi, a oni wciąż i wciąż nie mogli Go zrozumieć.

On zaś, wręcz przeciwnie, raduje się z tego radością ogromną i wysławia Ojca, że zakrył przed mędrkami i przed uczonymi, co objawił prostaczkom.. Bo „*to, co światu wydaje się głupie, wybrał Bóg, by zawstydzić, co mocne*“. A posłany „*do owiec zaginionych z domu Izraela jedynie*“, Samarytance przy studni wyjawia tak jasno jak nikomu innemu, że to On jest Mesjaszem i mówi przy tym również, że „*nadchodzi godzina, gdy ani na tej górze ani w Jeruzalem*“ ale „*w domu i prawdzie*“ będą prawdziwi czciciele cześć Ojcu oddawać, których Ojciec szuka. Których On też szukał z takim upragnieniem, że kiedy uczniowie z Sychar powracają z zakupionym w miasteczku posiłkiem, On, rozradowany, odmawia pokarmu mówiąc, że ma inny, którego oni nie znają — radość, że oto wola Ojca się dzieje, misja się wypełnia. Samarytanie bowiem nadejdą za chwilę. Zboża zatem bieleją do żniwa i zaczyna powstawać, w najogólniejszych na teraz zarysach, gmach powszechnego Kościoła, co będzie wiele więcej niżli Jego dziełem, Jego Ciałem będąc.

Gdyż się Jezus radował — Bożym szczęściem i ludzkim z oglądania Boga. Jakże by po prawdzie mogło być inaczej? Nie może przecie nie być razem i radością Ten, który mówił o sobie: „*Jam jest prawda i życie*“. I co uczniom oznajmia, że jeżeli będą Jego wolę chować, pozostaną też w Jego miłości na wieki. I na koniec dodając: „*To wam powiedziałem, aby moja radość była w was, a radość wasza była pełna*“.

Jakże by nasza radość zresztą dobra mogła być, Chrystusowa i święta, jeżeliby w Nim samym nie było radości.

Jezus więc się radował. A czy przy tym był smutny? Przecie, że był smutny. Za nas. Dla nas. Byśmy nigdy nie mogli powiedzieć: „*Exspectavi commiserantem, sed non fuit, et, consolantes, sed non inveni*“.

Ks. JERZY WOLFF